

Pani Julia Dyrma, żona Walentego, po raz kolejny usiłowała zmusić policję do rozpoczęcia poszukiwań małżonka.

- Przecież już minęły dwadzieścia cztery godziny! - wykrzykiwała do słuchawki. - Męża nie było całą noc! Nigdy nie spędził tyle czasu poza domem!

Dzwonek u drzwi przerwał niekończący się od kwadransa słowotok. Policjant również zamilkł, regenerując nadkruszoną psychikę. Najwyraźniej starał się przygotować jak najlepiej do kolejnego ataku żywiołu.

- Za chwilę oddzwonię! - powiedziała wreszcie kobieta, po czym rzuciwszy słuchawkę popędziła do drzwi. Niespodziewanym gościem okazał się pan Zygmunt - sąsiad z drugiego piętra. Niewysoki, gruby mężczyzna o sumiastych włosach, rekompensujących mu prawie całkowity zanik włosów na czubku głowy.

- Gratuluję szanownej pani - powiedział z szerokim uśmiechem. - Taki sukces, a sąsiadka nawet słowem się nie pochwaliła. Aż musieli w gazecie o tym napisać!

Julia przypatrywała się przez chwilę dzierżonemu w spoconych dłoniach egzemplarzowi "Kurieria Płoczyńskiego".

- O co chodzi? - zapytała wreszcie, zdziwiona entuzjazmem sąsiada, który zazwyczaj nawet nie rozpoznawał jej na schodach. - Jaki sukces?!

- Niech pani już nie udaje, tu wszystko jest napisane - powiedział, po czym otworzył gazetę na przedostatniej stronie. - Proszę!

Julia z zaciekawieniem spojrzała na wskazane krótkim, grubym paluchem, ogłoszenie. Treść była następująca:

"Władze miasta gratulują Wantemu Dyrmie zdobycia stypendium ufundowanego przez firmę Grassmon. Płoczyński fachowiec został doceniony przez amerykańskiego producenta bojlerów, który zaproponował mu wysokopłatną pracę w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Pan Walenty uda się tam 11 listopada wraz z małżonką oraz synem."

Gazeta wypadła z rąk Julii, bezwładnie opadając na zimną, lastrykową posadzkę.

- To musi być jakaś pomyłka. Dziś przecież mamy dwunastego...

Twarz pana Zygmunta poczerwieniała z radości.

- W takim razie już państwo są w Ameryce - z wrażenia omal nie podskoczył, co mogłoby skończyć się długotrwałą hospitalizacją. - To fascynujące! - Powiedział, podnosząc gazetę. Następnie popędził schodami w dół, najwyraźniej kierowany chęcią podzielenia się informacją z pozostałymi sąsiadami. Kobieta stała tymczasem, nic a nic nie rozumiejąc.

Rozdzwonił się telefon.

- Słucham? - rzuciła zamyślona.

- Wiemy już, co stało się z pani mężem! - odpowiedział znajomy głos. Był to ten sam policjant, z którym rozmawiała przed chwilą.

- Co takiego? Znalazł się?!

-Zgadza się - odparł stróż prawa. - Wiemy, co się z nim stało.

Kobieta omal nie zemdląca. Na szczęście tuż obok znajdował się fotel, na którym zdążyła przysiąść.

- Niech pan mówi! - powiedziała, gdy udało jej się opanować emocje. - Nic mu nie jest!?

- Zupełnie nic - odparł życzliwym tonem. - Jest cały i zdrowy.

Krew, która na chwilę przestała przepływać przez jej żyły, nagle zaczęła pędzić z dwukrotnie większą prędkością niż zazwyczaj.

- Jest w Ameryce... - dokończył policjant, nie chcąc dłużej trzymać kobiety w niepewności.
- Co takiego!? - Julia wrzasnęła tak, że rozmówca nabrał na resztę życia trwałego urazu do słowa "Ameryka". - Czy wy wszyscy poszaleliście!?
- Nie rozumiem? - powtarzał. - Nie dalej jak wczoraj pani mąż wyjechał tam z małżonką i synem.
- Jakim synem!? - kobieta była bliska obłędu. - Jaką małżonką, do diabła!? Przecież to ja jestem jego małżonką!

Na chwilę w słuchawce zapanowało milczenie.

- To niebywałe... - odezwał się wreszcie policjant. - Przecież pani jest tam razem z nim!
- Gdyby nie odległość, z pewnością rzuciłaby się mu do gardła. Przez moment, z zaciśniętymi pięściami i zamkniętymi oczyma, zbierała w sobie siły na powtórzenie jeszcze raz przebiegu zdarzeń z minionego dnia.
- Wczoraj, około godziny szesnastej - zaczęła wreszcie - mój mąż wyszedł z psem na spacer. Miał wrócić najpóźniej za pół godziny.
  - Niech pani wybaczy - przerwał oficer - ale w odszukaniu małżonka powinna pomóc pani amerykańska policja, a nie ja.
  - Słucham? - zapytała, nie wierząc własnym uszom.
  - Proszę się zgłosić do amerykańskiej policji - powtórzył mężczyzna. - To chyba oczywiste, że zaginięciami na terenie Ameryki zajmują się Amerykanie. Proszę do nich się z tą sprawą udać.
  - Ale... - kobieta usiłowała jeszcze raz podjąć próbę wyjaśnienia okoliczności zniknięcia męża, jednak w słuchawce zabrzmiał trzask a po nim seria krótkich, rytmicznych pisków.
- Julia zamilkła. Przeszła do pokoju, gdzie przez długi czas stała przy oknie, wpatrując się w chodnik, którym Walenty codziennie powracał ze spaceru z ukochanym psiakiem.

6

Odziana w grubą rękawicę dłoń wędrowała po jej plecach. Bładozielone usta dotykały ukrytych w cieniu futrzanego kaptura warg - najpierw delikatnie, delektując się, smakując, oczekując ledwozauważalnej wzajemności, potem coraz mocniej, niecierpliwiej, zachłanniej. Wgryzając się odbierały dech, zmuszając do oddychania swym własnym, nieprzewidywalnym rytmem, to powolnym, choć silnym, niczym uderzenia kowalskiego młota, to znów szybkim i urywanym, jakby to, co się działo było czynnością niebywale męczącą. On był coraz bardziej niecierpliwym, nie mógł dłużej oczekiwać chwili, gdy zedrze z kochanki futrzany przyodziewek i będzie mógł pieścić jej nagie, ponętne ciało, całować jej delikatną, zieloną skórę, a jego twarz utonie w lawinie purpurowych włosów. Ruchem, którego niepotrafiłaby pohamować nawet z pomocą całej populacji zamieszkującej Grassmona, odrzucił kaptur z jej głowy.

- Szybko, Czopku! - szepnęła, czując, że odwiekanie jest bezcelowe. - Zrób to! Już...

Zerwał się na równe nogi, podbiegł do ściany, gdzie znajdował się regulator ogrzewania. Podkręcając go do granic możliwości, zdejmował spodnie i ciepłe, wełniane kalesony. Teraz pozostało już tylko wrócić do gniazda miłości, w którym oczekiwała na niego namiętna i niewysławialnie piękna grassmońska bogini - Skarpeta. Rzucił się więc niczym wariat. W połowie drogi zamarł jednak. Wyciągnięte ku kochance ramiona opadły, a do oczu napłynęły łzy rozpaczliwej wściekłości.

Dziewczyna drżała z zimna, a jej skóra stała się szaro-beżowa, niczym u sprowadzonych ostatnio na Periona ziemian. Nie pozostało nic innego, jak okryć ją ciepłym futrem, a samemu wrócić po wełniane kalesony i grube spodnie. Znowu nic z tego...

Jest dziewięć księżyców Grassmona. Jeśli zaufać grassmońskim translatorom multijęzycznym, ich nazwy to: Belzebub, Perion, Kominiarz, Ameryka, Kopacz, Stokrotka, Rosja, Anestezjolog i Czechosłowacja. Nie da się jednak ukryć, że nazwy własne oraz imiona nie są zbyt szczęśliwie odzwierciedlane na języki ziemskie przez te, genialne swoją drogą, urządzenia. Perion jest drugim, jeśli chodzi o odległość od Grassmona, księżycem. Duża ilość związków fosforu w atmosferze spowodowała, że promienie znajdujące się w centrum układu planetarnego Słońca (o dziwo, w przypadkach najważniejszych obiektów astronomicznych, nazwy przetłumaczone przez translator brzmią całkiem przyzwoicie, co świadczy o jakimś szacunku martwych urządzeń elektronicznych do otaczającego je wszechświata) nabierają tu koloru soczystej zieleni. Temperatura, ciśnienie atmosferyczne oraz obecność tlenu i wodoru w tutejszym powietrzu, sprzyjają rozwijaniu się bujnej roślinności oraz istnieniu wielu gatunków zwierząt. Perion jest wręcz idealny dla Ziemi. Nieco inne stężenie tlenu w atmosferze powoduje, że człowiek może tu przeżyć do trzystu ziemskich lat. Jest jeden warunek - musi mu się udać uniknąć przez ten czas spotkania z periońską wiewiórką - potężnym ssakiem, przypominającym nieco napompowaną do rozmiarów konia, wiewiórkę ziemską. Jest to jedyny żerujący tu duży drapieżnik. Populacja, mimo że nieliczna, całkowicie wystarcza do utrzymania równowagi biologicznej wśród zwierząt o rozmiarach większych od małego psa. Na powierzchni Periona nie występują zbiorniki wodne, jednak już kilkusetmetrowa studnia wykopana w dowolnie wybranym punkcie, zapewnia dostęp do gorących źródeł krystalicznie czystej wody. Dość często trafiają się też niewielkie gejzery, stanowiące cenne źródło H<sub>2</sub>O dla tutejszej fauny. Woda wypływająca z nich tworzy zazwyczaj kałużę o kilkumetrowej średnicy, wsiąkającą w podłoże na tyle szybko, że ta nigdy nie zmienia swoich rozmiarów.

Na tym przeuroczym księżycu pobudowano niewielką bazę adaptacyjną, w której przygotowywano organizmy przedstawicieli sprowadzanych ras, do funkcjonowania na Grassmonie i wszystkich jego dziewięciu księżycach. Przygotowania te polegały głównie na dostosowaniu układu oddechowego i krwionośnego do funkcjonowania w wysokich temperaturach, przy dużo mniejszej niż na rodzimych planetach ilości tlenu w atmosferze. Wszystkie sprowadzane gatunki pochodziły z planet o zbliżonej do Ziemi budowie i składzie chemicznym atmosfery. Proces adaptacyjny był więc niemal sztafpowym zabiegiem. Pan Walenty, który spacerował teraz po terenie ośrodka, zabiegu takiego jeszcze nie przeszedł, podobnie jak pani Natalia oraz Pysio. Atmosfera Periona była jednak na tyle przyjazna, iż jedynie nieco szybszy oddech i nadmierna potliwość zdradzały, że nie znajduje się w swym naturalnym środowisku.

Walenty z zaciekawieniem przyglądał się porastającej egzotyczną roślinnością otaczającej go równinie. Na wykarczowanym terenie kompleksu adaptacyjnego rosły jedynie niskopienne rośliny przypominające ziemską trawę i koniczynę. Gdzieś tam zdarzały się małe tulipany o brązowych lub jasnozielonych kielichach i niewielkie stokrotki. Na platformę windy, na której cały czas się znajdował, wmaszerował potężny, sześcionożny pająk. Mężczyzna odruchowo odbiegł kilka metrów, jednak nie wpadł w panikę i już po chwili ponownie cieszył się urokiem, jaki roztaczał przed jego oczyma Perion. Wokół, w promieniu kilkuset metrów, roztaczał się dość wysoki mur. Niedaleko od miejsca, w którym się znajdował, stał znany mu dobrze pojazd kosmiczny. Ruszył w jego kierunku, przechodząc obok kilku wmontowanych w ziemię okien oraz podobnych do tego, przez który wydostał się na powierzchnię, wlotów windowych. Pojazd przytłaczał swymi rozmiarami. Walenty zachwycał się nim, niczym dziecko po raz pierwszy w życiu widzianą karuzelą. Kilka minut, nie licząc czasu poświęconego na opróżnianie pęcherza przy jednym z filarów pojazdu, zajęło mu obejście całej konstrukcji dookoła. Gdy już to zrobił, pomyślał o spacerze wzdłuż okalającego plac muru. "Zapewne jest stąd jakieś wyjście?" - rozważał. Po namyśle postanowił jednak odłożyć tę eskapadę na później. Teraz miał ochotę wrócić do Natalii. Rzeźkim krokiem ruszył więc z powrotem.

- No to pięknie! - wymamrotał, gdy znalazł się w pobliżu miejsca, w którym rozpoczął swą dzisiejszą wycieczkę. - Diabli nadali!

Zupełnie nie wziął pod uwagę faktu, że znajdowało się tu kilka zupełnie do siebie podobnych wind. Teraz biedaczysko biegał od jednej do drugiej i nie mógł się zdecydować, którą uruchomić. Wreszcie, na jednej z nich, zauważył tego samego wielkiego pająka, który przed chwilą tak bardzo go wystraszył. Nie był pewien, czy to dobry pomysł sugerować się obecnością owada. Pająk mógł bowiem w tym czasie przewędrować nawet kilkadziesiąt metrów. Niemniej, z braku innych wskazówek, zdecydował się zaryzykować. Zbliżył się do sześcioroga, po czym odruchowo spojrzął na swoje stopy. Jaka szkoda, że był na boso.

7

Mieszkańcy Grassmona nie zamieszkiwali od początków swej historii na tej akurat planecie. Sprowadzili się tu około trzech grassmońskich (czyli około dwunastu ziemskich) lat temu. Ich przeprowadzka była przymusowa. Grassmonea - planeta, którą zamieszkiwali, znalazła się na trasie lotu sporego kawałka innego ciała niebieskiego. Jego wielkość specjaliści szacowali na jedną trzecią wielkości Grassmonei, a szansę, że ją ominie, były, jak to określił ówczesny przywódca duchowy jednej z popularniejszych religii tego globu: "niczym piersi kobiety zawodowo parającej się kulturystyką - kurewsko małe". Grassmonianie to wysokorozwinięta cywilizacja, jednak loty kosmiczne były dopiero w stadium eksperymentalnym. Posiadali kilka pojazdów, którymi przemieszczali się między Grassmoneą a jej księżycami oraz jeden przeznaczony do eksperymentalnych lotów na najbliższą planetę. Będący w stanie pomieścić zaledwie dziesięć osób Zajadacz Kukurydzy, miał być jedyną szansą na przetrwanie cywilizacji zamieszkującej Grassmoneę. Zdecydowano, że znajdzie się na nim grupa naukowców i inżynierów obojga płci, a także znawca religii, psycholog oraz uzdolnieni w wielu dziedzinach sztuki artyści. Grupa ta miała odszukać niezamieszkałą planetę, na której będzie w stanie przetrwać, rozmnożyć się i w możliwie krótkim czasie odtworzyć bogactwo technologiczne, naukowe oraz kulturowe swej, do niedawna kilkumiliardowej populacji. Cel tej wyprawy był oczywiście słuszny i szlachetny, co nie znaczy, że wszyscy Grassmonianie byli z takiego pomysłu zadowoleni. Trudno zresztą dziwić. Skazani na śmierć obywatele, mogli jedynie na ekranach podziwiać lśniącego niklem Zajadacza kukurydzy - pojazd, wybudowany z ich podatków, a teraz stanowiący jedyną realną szansę na przetrwanie katastrofy. Bojąc się śmierci, przeklinali grupę wybrańców składającą się z trzech kobiet i siedmiorga mężczyzn. Pomimo, że była to elitarna grupa przebadanych pod każdym względem inteligentów, z uwagi na charakter misji, w brukowej prasie nazywano ich zazwyczaj "pierwszą międzyplanetarną porno-wyprawą" lub misją "po dwóch na każdą plus awaryjny klecha". Byli znienawidzonym gatunkiem, który niemal każdy mieszkaniec Grassmonei kojarzył ze szkolnymi, przesadnie ugrzecznionymi kujonami, teraz na dodatek pokazującymi światu, do jakiej rozwiązłości są w stanie się posunąć, byle tylko uniknąć śmierci. Wszyscy członkowie misji "po dwóch na każdą plus awaryjny klecha" zostali szybko odizolowani od świata zewnętrznego i objęci opieką psychologiczną. Zwłaszcza kobietom trudno było pogodzić się ze świadomością, że ich głównym zadaniem ma być jak najczęstsze zachodzenie w ciążę, zwłaszcza, że w celu zróżnicowania genów potomstwa, ojciec narodzonego dziecka nie powinien być kandydatem na rodzica kolejnego potomka. Przynajmniej przez dwa kolejne poczęcia. Spośród trzech młodych uczestniczek wyprawy, jedynie Chłodnica - dziewczyna, która poza karierą naukową w dziedzinie historii literatury, mogła się poszczycić również seksualnym rekordem południowej półkuli Grassmonei oraz udziałem w niezliczonej ilości pornoprodukcji (gdzie występowała pod pseudonimem Zielone wargi), nie odczuwała dyskomfortu psychicznego związanego z tak częstymi zmianami partnerów. Dwie pozostałe: Skarpeta - inżynier biochemii, oraz Kielbasa - bardzo młoda, świetnie wysportowana absolwentka konserwatorium, musiały zostać poddane bardzo poważnej psychoterapii, by

udało im się pogodzić ze swoim przeznaczeniem. Jeśli chodzi o męską część wyprawy, to największych problemów przysparzał kapłan Kościoła Dumy Grassmonei, który nijak nie zamierzał rozgrzeszać uczestników wyprawy z bigamii, którą będą zmuszeni uprawiać po kres swych dni. W ostatnich dniach przed startem, organizatorzy zdecydowali się w absolutnej tajemnicy zamienić go na przywódcę duchowego nieco bardziej tolerancyjnej odmiany Dumy Grassmonei, a mianowicie Kościoła Frywolnych Grassmonek (nota bene Chłodnica, jako Zielone Wargi, zagrała swego czasu jedną z głównych ról w ekranizacji "Frywolnej Księgi" - opowieści o historii powstania tegoż Kościoła).

Na kilka dni przed przewidywaną katastrofą, Zajadacz kukurydzy, odprowadzany przez miliony zapłakanych oczu zrozpaczonych Grassmończyków, odleciał w poszukiwaniu nowego miejsca, w którym szczęśliwie będą mogły żyć i rozwijać się kolejne pokolenia.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

mahuss, dodano 03.04.2009 11:19

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).